

Spacery z „Kulturą”

*Wydano we współpracy
z Instytutem Literackim Kultura w Paryżu*

Leopold Unger

Spacery z „Kulturą”

*Instytut Książki
Kraków – Warszawa 2016*

*Wydano w okazji
5. rocznicy śmierci Autora
oraz 70. rocznicy powstania Instytutu Literackiego*



- *Wielkie?*
- *Nie.*
- *Małe?*
- *Tak.*
- *Sam?*
- *Tak.*
- *Kiedy?*
- *Zaraz.*
- *Gdzie?*
- *Jak zwykle...*

Telefoniczny (bo tą drogą się toczył) dialog dwóch szpiegów? Szyfr tajnej organizacji? Ani jedno, ani drugie. Zupełnie coś innego. Znacznie prostsze: dokładny zapis rozmowy, jaką dwóch poważnych panów zamieszkałych niedaleko siebie w tej samej dzielnicy Brukseli (Woluwe-Saint-Lambert) prowadziło stosunkowo często, na ogół po kolacji, czyli wieczorową porą, latem i zimą, nawet w lekki deszcz i niegroźny mróz.

Nie było w niej nic tajemniczego. Chodziło o... spacer. Słowa „wielkie” czy „małe” określały długość „kółka”, to znaczy najczęściej – zależnie od czasu i pogody – przebywanej trasy; pytanie „sam?” dotyczyło ewentualnego towarzystwa obu żon; „kiedy?” – określić miało moment wyjścia z domu i spotkania; „jak zwykle” – to znaczy mniej więcej w połowie dystansu dzielącego rezydencje obu wysokich umawiających się stron.

Dialog ten, może dziś nieco rzadszy niż kiedyś (lata robią swoje), trwa jednak już od ponad trzech dziesięcioleci. Wojciecha Skalmowskiego – profesora, językoznawcę, orientalistę, literaturoznawcę i krytyka literackiego – oraz obecnego po drugiej stronie drutu autora tych słów – dziennikarza i publicystę – połączyło kilka elementów racjonalnych i jedna wielka pasja. Racjonalnie biorąc, chodziło o poszukiwanie w space-rach wytnienia po całodziennym ślęczeniu nad tekstami. Własnymi i, co gorsza, cudzymi. Także racjonalnie rzecz biorąc, obydwaj panowie w pewnym sensie się uzupełniali. Mieli, mają podobne, złośliwe poczucie humoru, lubią źle mówić o bliźnich, ale i o sobie także. Skalmowski potrafi godzinami opowiadać w absolutnie pasjonujący sposób o starej Persji, wszystkich Cyrusach i Dariuszach, cudach i bogactwach Persepolis, no i o pojawieniu się Aleksandra Macedońskiego oraz Hunów i Mongołów, czyli o epokach, kiedy ajatollahów jeszcze nie było. Ale umie także, wyjaśniając jak najbardziej bieżące wątpliwości i pokonując braki w wykształceniu dziennikarza, w przekonywający sposób wytłumaczyć, skąd się ajatollahowie wzięli we współczesnym Iranie i co z tego, raczej złego, dla świata wynika.

Wspólna pasja dotyczyła natomiast polskiego i emigracyjnego miesięcznika o nazwie „Kultura” oraz jego twórcy i redaktora, urodzonego na Białorusi w rodzinie polskiej z korzeniami litewskimi, o nazwisku Jerzy Giedroyc. Obaj byliśmy jego współpracownikami, obaj drukowaliśmy pod pseudonimami: Skalmowski podpisywał swoje szkice literackie „M. Broński” (nigdy nie używał imienia, więc do dziś nie wiem, co znaczyło to „M” z kropką), Unger swoją publicystykę polityczną podpisywał (na początku, potem wrócił do nazwiska) „Brukselczyk”.

Nie dekonspiruję Pana

Na początku było słowo. Słowo Giedroycia. Wtedy, w roku 1969, chociaż mieszkaliśmy właściwie obok siebie, nie znaliśmy się. Nieznajomość nie będzie długo trwała. Początek był prawie banalny. 10 marca 1971 roku Jerzy Giedroyc napisał do mnie:

Jest w Louvain bardzo interesujący człowiek, Wojciech Skalmowski. To wybitny orientalista i literaturoznawca. Pisuje jako „Broński”. Marzy o poznaniu „Brukselczyka”. Nie dekonspiruję Pana, bo nie wiem, czy ma Pan ochotę, ale jeżeli tak (a myślę, że warto), to podaję jego adres...

Rzeczywiście, powiedziałem sobie, sądząc z jego szkiców, na pewno warto, a potem się zobaczy. Tak więc, nie znając człowieka, a tylko, tak jak i on, autora, trzy dni później odpowiedziałem:

Ze Skalmowskim nawiążę kontakt bardzo chętnie. To może być wytnienie po zawodowych spotkaniach.

Nie wiedziałem, jak bardzo miałem rację. On także.

Wszystko, nasze spacerowanie i nasza ponad 30-letnia przyjaźń, od tego miesięcznika i jego redaktora się zaczęły. Przez 30 lat wszystkie nasze rozmowy zaczynały się od pytania: Czy miałeś ostatnio kontakt z „Drogim Panem”? bo tak nazywaliśmy Giedroycia, który tego zwrotu używał we wszystkich listach do nas, i do innych zresztą także.

Dziś miesięcznika i jego redaktora już nie ma. Nasze spacery – i nasze poczucie humoru – trwają. Jesteśmy parą bliskich i wiernych przyjaciół, nielicznych już, *hélas*, weteranów „Kultury”. I w naszych rozmowach „Kultura” i Giedroyc są ciągle obecni.

Klub, czyli krąg

Nic dziwnego. Giedroyc i „Kultura” odegrały w naszym życiu, i nie tylko w naszym, znacznie większą rolę, niż odgrywa na ogół w życiu dwóch dorosłych panów jakiś redaktor i jakieś jego pismo. To było zarazem wyzwanie i misja. Coś, czemu, bez żadnej rekompensaty materialnej poświęcało się bez wahania weekendy czy nawet wakacje, właściwie cały (z wyjątkiem... spacerów) wolny czas, jaki nam pozostawiały zawodowe, przyziemne zarobkowe zajęcia.

Kiedyś, jak przypominałem swego czasu w „Kulturze”, Cyrus Vance, ówczesny sekretarz stanu USA, przyjechał z oficjalną wizytą do Moskwy akurat w dniu swoich 60. urodzin. Gościł go niezniszczalny (wydawało się wtedy), już dobrze ponad 70-letni sowiecki minister spraw zagranicznych Andrej Gromyko, który od razu na lotnisku zwrócił się do Vance’a słowami: „Witam Pana w klubie osób dorosłych”. Co mam powiedzieć w dniu 70-lecia Wojciecha Skalmowskiego? On już od dawna jest dorosły. Nawet bardzo, a może i za bardzo. Powiem tylko, parafrazując Gromykę:

Cieszę się Wojtku, że jesteście ciągle razem w naszym dwuosobowym, spacerowym klubie, ale także jesteście razem w klubie inaczej zwanym kręgiem (byłeś tam przede mną) „Kultury”.

Albowiem, kiedy o naukowym dorobku Skalmowskiego pisać dziś jego fachowi koledzy czy uczniowie, to, jeżeli o mnie chodzi, nie ma – jestem o tym przekonany – bardziej godnego sposobu uczczenia tego jubileuszu niż próba opowiedzenia epopei „Kultury” i Jerzego Giedroycia, którym Skalmowski dał bezinteresownie (wyłącznie w poczuciu tego, co uznał za obowiązek Polaka i intelektualisty) tyle swojego czasu, talentu, cierpliwości i... nerwów.

Domyślam się, że tylko niewielu autorów i czytelników tej wielkiej książki wie, czym była „Kultura”, i jeszcze mniej rozumie rolę, jaką Jerzy Giedroyc i jego miesięcznik odegrali w życiu politycznym Polski, a także w pewnym – a nawet dużym – stopniu (nie trzeba się bać tego określenia) Europy.

637 miesięcy cudu

14 września 2003 roku miną trzy lata od podwójnej śmierci – i „Kultury”, i jej założyciela. Decyzją bowiem Jerzego Giedroycia miesięcznik miał umrzeć razem z nim. Przy czym sam Giedroyc, na długo przed śmiercią, wśród rozmaitych poleceń zakazał także (co jego bliskich nie zdziwiło) wydania specjalnego, pośmiertnego numeru. I tak się stało: nr 637 z września roku 2000 był ostatnim numerem „Kultury”. Jako epitafium można

powiedzieć, że jego trwanie przez 637 miesięcy, bez żadnej przerwy, nawet najwięksi realiści ciągle określają jako cud.

U źródła tego cudu był charakter i rozum Jerzego Giedroycia. Urodził się w 1906 roku, w Mińsku, dziś stolicy Białorusi, jako potomek zubożałej rodziny arystokratycznej, która w ciągu wieków odgrywała ważną rolę w historii Wielkiego Księstwa Litewskiego. W 1919 roku przeniósł się wraz z rodziną do Warszawy, gdzie, po gimnazjum, ukończył wydział prawa. Zaczął karierę urzędniczą, był w rozmaitych gabinetach ministerialnych, ale przede wszystkim (choć równolegle) był redaktorem naczelnym pisma, które najpierw nosiło nazwę „Bunt Młodych”, a potem „Polityka”. Pismo i jego redaktor reprezentowali nurt opozycyjny w obrębie rządzącej wówczas w Polsce grupy zwolenników twórcy niepodległego, po 150-letniej przerwie, państwa polskiego, Józefa Piłsudskiego.

Tak zaczęła się wielka awantura

Po katastrofie i czwartym rozbiórze Polski – przez Hitlera i Stalina połączonych sojuszem i traktatem z sierpnia 1939 roku, Giedroyc bierze udział w II wojnie światowej jako żołnierz polskich sił zbrojnych na Bliskim Wschodzie, walczy w kampanii libijskiej i słynnej bitwie o Tobruk.

W 1943 roku, w Iraku, spotyka Józefa Czapskiego, malarza i pisarza, oficera rezerwy, wziętego do niewoli przez armię sowiecką w 1939 roku, jednego z nielicznych więźniów, którzy

uszli z życiem z piekła Katynia i Starobielska, gdzie NKWD wymordowało na rozkaz Stalina 15 000 polskich jeńców wojennych. W owym czasie Czapski był odpowiedzialny za propagandę w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem gen. Andersa. Na prośbę Czapskiego, który go znał jako redaktora jeszcze sprzed wojny, Giedroyc zgodził się zostać szefem działu wydawnictw Korpusu. Tak zaczęła się wielka awantura, jedna z najpiękniejszych i najbardziej brzemiennych w skutki intelektualnych, wydawniczych i politycznych przygód w historii przedwojennej Polski.

Jak wiemy z tego co wyżej, u końca wojny Jerzy Giedroyc był już doświadczonym politykiem i redaktorem, miał też wyrobiony pogląd na dalszy ciąg dziejów Polski i świata. Rozumiał, że – wbrew dość powszechnym oczekiwaniom, zwłaszcza w wojskowych, bardzo wówczas wpływowych kołach emigracji polskiej – trzeciej wojny światowej nie będzie. Miał przy tym świadomość, że Polska, choć w obozie zwycięskim, choć jej wkład w zwycięstwo był wyjątkowo wysoki, zostanie po złej stronie mapy powojennej Europy. Że Polacy będą ofiarami nowego porządku międzynarodowego opartego na podziale Europy na dwie strefy wpływów, inaczej mówiąc, na uznaniu tego, co się w skrócie określać potem będzie jako Jałtę, na uznaniu panowania sowieckiego nad „Europą porwaną”, czyli nad jej częścią środkową i wschodnią. Jeszcze inaczej mówiąc, Giedroyc był świadom, że Polacy rozsiani po świecie będą musieli wybierać: albo powrót do Polski pod sowiecką kontrolą, albo długa emigracja na niewiele obiecującym, leczącym wojenne rany i zajęтым sobą Zachodzie. Giedroyc wybrał emigrację. Ale inną niż ogromna większość Polaków.

Założył bowiem, że – ponieważ trzeciej wojny nie będzie i emigracja potrwa dziesięciolecia – walkę z ideologią komunistyczną, wcieloną w system sowiecki, można i trzeba wygrywać przede wszystkim na obszarze kultury, to znaczy literatury, filozofii, nauki, sztuki, publicystyki: w tych dziedzinach, gdzie się kształtują zarówno poglądy zbiorowe, jak i postawy poszczególnych jednostek. Tak aby ludzie poddani komunistycznej indoktrynacji nie utracili nigdy przekonania o wyższości wolnego świata.

Coś pośredniego między kibucem, klasztorem czy falansterem

Taki był właśnie sens powstania w roku 1946 we Włoszech wydawnictwa o nazwie Instytut Literacki i w roku 1947 miesięcznika o nazwie „Kultura”. W największym skrócie, ale najbardziej trafnie, ujął to w jednym ze swoich pierwszych artykułów Juliusz Mieroszewski, który będzie przez długie lata, aż do przedwczesnej śmierci, głównym publicystą pisma, a zarazem głównym doradcą Giedroycia i porte-parole „Kultury”.

Historia – pisał Mieroszewski w 1954 roku – zna tylko dwie kategorie emigrantów politycznych. Pierwsi opuszczają kraj, by za granicą walczyć o postęp i wolność. Drudzy opuszczają kraj, by na obczyźnie bezpłodnie marzyć o przywróceniu status quo. Pierwsi reprezentują siły postępu, drudzy – reakcję i wstecznicstwo. „Kultura” jest pismem tej pierwszej kategorii.

Instytut Literacki, który, obok „Kultury”, wydawać będzie także comiesięczne „Zeszyty Historyczne”, no i, naturalnie, książki, ulokował się na trwałe w podparyskiej miejscowości Maisons-Laffitte, skąd się wzięła nazwa, pod jaką będzie powszechnie w Polsce znany: „Kultura paryska”. Tam mieszkał i pracował mały zespół skupiony wokół Jerzego Giedroycia. Ich dom, jak potem napisze Konstanty Kot Jeleński, jeden z najlepszych autorów „Kultury” i najbliższych doradców Giedroycia, stanowić będzie „coś pośredniego między kibucem, klasztorem czy falansterem”.

Giedroyc był do śmierci prawdziwym i jedynym szefem redakcji. Można powiedzieć, że był redakcyjnym autokratą o – jak sam o sobie mówił – „apokaliptycznym usposobieniu”. Co do zespołu i roli redaktora nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości: „Do zespołu – odpowiedział kiedyś na pytanie czytelnika – należą: redaktor Jerzy Giedroyc, redaktor Giedroyc Jerzy, Jerzy Giedroyc, Redaktor, Giedroyc, Jerzy oraz inni członkowie zespołu »Kultury«”.

Ale to „usposobienie” właśnie pozwoliło mu na dokonanie ogromnego dzieła, jakim było wydawanie przez ponad pół wieku – w bardzo trudnych, emigracyjnych warunkach i w tak małym zespole, przy wielkich przeciwnościach losu, ciągłych atakach władz komunistycznych, niechęci i nieufności większości zapatrzonych w przeszłość instytucji uchodźczych – miesięcznika, książek, „Zeszytów Historycznych”, specjalnych numerów w wersji niemieckiej, rosyjskiej, białoruskiej, czeskiej i słowackiej.

W swym szczytowym okresie „Kultura” wychodziła w nakładzie około 7 tysięcy egzemplarzy i miała prenumeratorów

we wszystkich niemal krajach niekomunistycznych. Do krajów komunistycznych, głównie do Polski, dochodziła także, ale oczywiście nielegalnie, nieraz kontrabandą, bardzo ryzykowną (były procesy i więzienia) dla odważnych i ofiarnych, z reguły młodych kolporterów.

Niewidzialna redakcja pocztowa

Giedroyc sam właściwie nie pisał. „Redaktor – mówił – nie powinien pisać w swoim piśmie. Redaktor jest reżyserem. A reżyserzy są rzadko dobrymi aktorami”. Ale, co okaże się najważniejsze, jego trudność pisania, i, jak się to dziś mówi, „komunikowania” przekształciła się we wspaniałe zalety redaktorskie. To bowiem, że sam, z minimalnymi wyjątkami, nie pisał, dało mu ogromną swobodę w wykrywaniu i prawidłowej ocenie talentów u innych. To, co mu przeszkadzało w bezpośrednich kontaktach z ludźmi, sprawiło, że napisał w życiu kolosalną liczbę listów. Obok ponad 630 numerów miesięcznika, setek numerów „Zeszytów Historycznych” i książek wydawanych przez Instytut Literacki ta właśnie korespondencja Giedroycia – przede wszystkim z Mieroszewskim, ale także z innymi najważniejszymi współpracownikami i autorami – była tygłem idei „Kultury”, a dziś jest skarbem i, w pewnym sensie, szansą kultury polskiej. Jest bowiem nieocenionym i niezastąpionym źródłem badania, oceny i pisania historii kultury polskiej, i w ogóle historii Polski drugiej połowy XX wieku. Bez bilansu „Kultury”, a także bez, jak ją nazywamy, „An-

ty-Kultury” (to znaczy analizy setek artykułów i wydawnictw komunistycznych atakujących „Kulturę”) tej historii nie da się napisać, a tym mniej zrozumieć.

Inaczej mówiąc, zwłaszcza w czasach, kiedy telefon był drogi, a o e-mailach nikomu się nie śniło – czyli do niedawna – Giedroyc redagował pismo przez... pocztę. Na przykład jego korespondencja z Mieroszewskim w latach 1949–1976 liczy około 3300 pozycji. To właśnie ona oraz kontakt z autorami rozszanymi po całym świecie składa się na to, co Mieroszewski nazwał „niewidzialną redakcją Kultury”.

Liczył się talent i rozum

Autorzy „Kultury” to było bardzo dziwne stado.

W ciągu swego istnienia „Kultura” wydrukowała około 2500 autorów reprezentujących pięć pokoleń. Jednak krąg prawdziwych, mniej więcej regularnych współpracowników był znacznie węższy, liczył może 30 nazwisk. Trafić bowiem na stałe na jej łamy nie było łatwo. Giedroyc miał bardzo wysokie wymagania formalne i intelektualne. Pomijając niewielki zespół, który pracował na miejscu w Maisons-Laffitte pod Paryżem, nawet najbliżsi autorzy „Kultury” rozszani byli po całym świecie. Pochodzili z kraju i emigracji, reprezentowali rozmaite tradycje, a także „garby” przeszłości, ale liczył się talent i rozum – to, co i jak mieli do powiedzenia.

Ponieważ Giedroyc miał pasję i szczęśliwą rękę do pozyskiwania młodych lub starszych, ale zdolnych i utalentowanych

autorów, skupił wokół siebie nie byle kogo, bo najlepsze pióra i umysły demokratycznej emigracji. Mieroszewski, Czapski, ale także Gustaw Herling-Grudziński, Czesław Miłosz – przyszły Nobel, Witold Gombrowicz – niedoszły Nobel, Konstanty Jeleński, Bohdan Osadczuk, „honorowy” Ukrainiec w „Kulturze”, Krzysztof Pomian, jeden z najbliższych współpracowników Giedroycia, współautor *Autobiografii na cztery ręce*, jedynej, na razie, poważnej, choć niekompletnej biografii Giedroycia, no i „M. Broński” (czyli Wojciech Skalmowski) właśnie, nie licząc kilku, jak się potem okaże, ważnych anonimów z Polski.

Nie było tabu

Wszyscy starali się być obiektywni, ale żaden nie był neutralny. Pod warunkiem że autor miał naprawdę coś do powiedzenia. Giedroyc szanował cudze zdanie i otwierał łamy pisma także dla rzeczników poglądów mniejszościowych i niepopularnych, w niezgodzie z nim i z redakcją, nawet jeśli trzeba było zaznaczyć to specjalnym przypisem czy komentarzem.

Dla pisarzy i publicystów „Kultury” – wolnych od cenzury w każdej postaci – nie było tematu tabu. Inaczej mówiąc, przez 40 lat „Kultura” była jedynym pismem polskim, które podejmowało tematy gdzie indziej duszone przez cenzurę, jak w komunistycznej Polsce, lub przez przesady i mity, jak w polskiej prasie emigracyjnej. Wystarczy wymienić zbrodnię katyńską,

deportacje do ZSRR, wszystkie aspekty socjalne, polityczne, psychologiczne i kulturowe rządów komunistycznych, stosunki z sąsiadami i mniejszościami narodowymi, miejsce Kościoła i sprawy religijne, prawdziwe, bez uwielbienia i zakłamania spojrzenie na historię Polski międzywojennej i czasu wojny (na przykład powstanie warszawskie w roku 1944) itd., itp.

Na specjalną uwagę zasługuje bezkompromisowe stanowisko „Kultury” i Giedroycia wobec kwestii żydowskiej i polskiego antysemityzmu. W tej tak mocno drażliwej i obciążonej sprawie „Kultura” reprezentowała to co najlepsze w polskim myśleniu.

Bardzo ostro krytykowała antysemityzm w ogóle, także ten z okresu niepodległej Polski między dwiema wojnami światowymi, zdecydowanie potępiła komunistyczną „czystkę etniczną” w roku 1968, ale również akcenty antysemickie, jakie pojawiały się już w pokomunistycznej Polsce, na przykład w kampanii wyborczej Lecha Wałęsy. Giedroyc był też bezkompromisowym krytykiem działalności katolickiego fundamentalistycznego Radia Maryja, którego ultrakonserwatyzm, a w tym obsesyjny antysemityzm uważał za wyjątkowo szkodliwy dla Polski.

Z obfitej, jak to się mówi, literatury przedmiotu zacytujmy jeden fragment:

Najstraszniejsze w dziejach ludobójstwo, masakra kilku milionów Żydów w Polsce, obranej przez Hitlera jako plac straceń, krew i popioły tych ofiar, które wsiąkły w ziemię polską, stanowią istotną więź, która spoila Polskę z narodem żydowskim i od której

zwolnić się nie jest w naszej mocy. Polska jest obciążona jeżeli nie odpowiedzialnością za zbrodnię, to odpowiedzialnością za jej zadośćuczynienie.

Tak pisała „Kultura” piórem Marii Czapskiej w czerwcu 1957 roku!

Przeciw sowietyzacji ducha

Czy była jakaś linia „Kultury”? Właściwie nie było. Jak mawiał Giedroyc: „trzeba mieć zasady i zmieniać poglądy”. Był dogmat „niezależności za wszelką cenę”, także finansowej, która w pojęciu Giedroycia stanowiła zarówno gwarancję pełnej swobody wypowiedzi, wolnej od wszelkich nacisków zewnętrznych, co i wiarygodności pisma wobec czytelników.

Nie było też żadnego skodyfikowanego i obowiązującego programu. Program, zdaniem Mieroszewskiego, to jest „balon frazesów unoszący się nad myślową pustynią”. To naturalnie żart. „Kultura” nie miała jednak i nie proponowała żadnych nowych rozwiązań. Linie, program, rozwiązania chciała i chyba potrafiła zastąpić dyskusjami, rozważaniami i wypracowanymi tą drogą przekonaniem.

Tak było na przykład w odniesieniu do jednej z centralnych kwestii, która dotyczyła orientacji „Kultury” w ogóle i jej stosunku do systemu komunistycznego w szczególności, a którą w skrócie można by określić jako dylemat: „ewolucjonizm czy rewolucjonizm?”.

Naszym credo – pisał Mieroszewski w 1968 roku – jest obalenie komunizmu. Każda metoda jest dobra dla ewolucjonistów, jak i rewolucjonistów, ponieważ łączy ich wspólnota celu. Naszym programem jest przebudowa Związku Sowieckiego i zaprowadzenie demokracji w Europie Wschodniej.

Taki sam wniosek można było wysnuć z debaty na temat sowietyzacji. Celem jej była, jak pamiętamy, akceptacja przez społeczeństwo własnej niemocy, uznanie bierności wobec dyktatury za stan normalny. Pisała „Kultura”:

Celem sowietyzacji jest przekonanie wszystkich i każdego z osobna, że jakakolwiek akcja zbiorowa jest nierealnym szaleństwem. Celem jej jest wtłoczenie ludziom do głowy, że jakakolwiek forma demokracji jest po prostu absurdem. Istotą sowietyzacji jest wyrobienie w ludziach – poprzez długotrwałe uwarunkowanie – pewności, że system, w którym żyją, stanowi sytuację bez wyjścia, z którą, by żyć, należy się pogodzić.

Walka z sowietyzacją ducha pozostała celem „Kultury” do końca... sowietyzacji. A nawet długo potem, kiedy celem jej krytyki był homo sovieticus odziedziczony po okresie komunizmu.

Zamiast credo

Tak pojęty cel zakładał maksymalną otwartość „Kultury”. Jej pluralizm i nonkonformizm obejmował więc wszystkie stanowiska, prądy i odczucia, z wyjątkiem dwóch: po lewej stronie – ortodoksyjnego komunizmu poddanego Moskwie, po prawej – radykalnego, klerykalnego nacjonalizmu.

„Kultura” była więc pismem bez napisanego raz na zawsze programu, ale była bez złudzeń, bez przesądów, bez tabu. Była nonkonformistyczna, czasem aż do przesady, zwalczała nacjonalizm, szowinizm, ostracyzm, klerykalizm, antysemityzm, wszelkie polskie fobie narodowe.

Tak więc credo „Kultury”, gdyby oficjalnie istniało, brzmiałoby zapewne: Polska niepodległa, demokratyczna, laicka, tolerancyjna i wykształcona. Misją Giedroycia i jego „kręgu” (należało się doń wyłącznie z nadania samego Giedroycia) był ratunek polskiej kultury i zdrowego rozsądku, szacunku dla tych kilku wartości, jakie tkwią u podstaw naszej cywilizacji i powinny decydować o obliczu polskiej inteligencji.

Wizja Europy

Czy „Kultura” miała – i jaką – geopolityczną wizję? Od pierwszego numeru uważała, że losy Polski są nieodłączne od losów Europy. Warto przytoczyć jedno tylko zdanie z artykułu Mieroszewskiego z 1954 roku, chyba najważniejszego ze wszystkich, jakie napisał:

Bismarckowska teza głosząca, że absolutna suwerenność jest ostatecznym celem dążeń narodowych, jest dziś anachronizmem. „Kultura” wyznaje pogląd, że wolność jest celem nadrzędnym, któremu wszystko musi być podporządkowane. Pierwsze pytanie w politycznym abecadle nie brzmi: Czy Polska będzie niepodległa?, lecz: Czy świat jutra będzie światem wolnych ludzi? Niepodległość Polski (między Rosją a Niemcami), rozpatrywana w oderwaniu od problemu radykalnej przebudowy systemu międzynarodowego, a w szczególności systemu europejskiego, jest mrzonką nie z tego świata.

Otóż w tej nowej, radykalnie, jak głosiła „Kultura”, przebudowanej Europie, utożsamianej przez nią od początku z rozwiniętą gospodarką rynkową, postępem i demokracją, Polska powinna – zdaniem Giedroycia – odgrywać rolę niewspółmierną do jej wielkości geograficznej czy potencjału gospodarczego. Powinna stać się ośrodkiem wielkich, w skali dużego regionu Europy, geopolitycznych przekształceń opartych na sojuszu z jej sąsiadami, przede wszystkim z wolnymi, niepodległymi i demokratycznymi republikami Litwy, Białorusi, Ukrainy, no i, naturalnie, takiej samej Rosji.

Wystarczy jeden, ale zasadniczy przykład wielkości i zasięgu Giedroyciowej myśli. Idąc na przekór całej właściwie społeczności polskiej, w kraju i na emigracji, to „Kultura”, i to jeszcze w numerze 11 z roku 1952 (!!!), wydrukowała list ks. Józefa Majewskiego, w którym rzuciła hasło świadomej – a nie pod sowieckim przymusem – rezygnacji Polski ze Lwowa i Wilna. Tłumaczyła, że Polacy powinni zrozumieć, iż losy ich są nieodłączne od losów Ukraińców czy Litwinów i że nie

mogą bronić swych roszczeń do granic na Odrze i Nysie bez uznania zasadności roszczeń swych ukraińskich i litewskich sąsiadów do – tak związanych z całą historią Polski – wielkich, wspaniałych miast, Lwowa i Wilna.

Ksiądz Majewski z dalekiej Afryki Południowej napisał wtedy w „Kulturze”:

Litwini nigdy nie zapomną o Wilnie. Ukraińcy nie podarują nam Lwowa. Niech Litwini cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sinożółty sztandar... Wtedy na pewno sąsiedzi nasi ze wschodu i północy obdarzą nas zaufaniem. Przy współpracy Litwy i Ukrainy federacja Europy Środkowo-Wschodniej stanie się faktem dokonanym.

Takiej federacji jeszcze nie ma, ale opór i argumentacja „Kultury” doprowadziły do powszechnego już dziś w Polsce poglądu, że niepodległość sąsiadów, zwłaszcza Ukrainy, jest niezbędna w każdej konstelacji zakładającej zablokowanie imperialnych aspiracji Rosji. Giedroyc zawsze uważał, że starania o właściwe miejsce dla Ukrainy w Europie, zwłaszcza w perspektywie wejścia Polski do Unii Europejskiej, powinny stanowić jeden z istotnych elementów kształtujących polską politykę zagraniczną. Integracja z Zachodem nie wymaga bowiem, jak niektórzy sądzą lub nawet się obawiają, przekreślenia tego, co „Kultura” określa jako polską politykę wschodnią. Także wtedy, mówiła „Kultura”, kiedy Polska wejdzie do wszystkich struktur zachodnich, dobre, oparte na pojednaniu i prawdzie stosunki z sąsiadami nie przestaną leżeć w jej narodowym interesie. Tylko ci, którzy pamiętają tamte czasy albo

prawdę o nich znają z nauki i lektury, wiedzą, ile odwagi i siły przekonywania trzeba było mieć, aby – przy ówczesnych nastrojach – takie rzeczy Polakom proponować.

Na balonikach i w plecakach

Taka „Kultura”, nie trzeba tego tłumaczyć, nie miała debitu w komunistycznej Polsce. Przede wszystkim jej egzemplarze szukali celnicy i policja u podróżnych na granicy. Dostawała się jednak i kursowała nielegalnie, co wymagało nie tylko odwagi kolporterów, ale także sporo wyobraźni. Kilka numerów udało się przewieźć do Polski, albowiem na okładce widniał portret Konstantego Rokossowskiego, sowieckiego i polskiego marszałka, a jako wydawca figurowało Stowarzyszenie Przyjaciół Wandy Wasilewskiej (znanej polskiej i sowieckiej komunistki) w Paryżu. Inne egzemplarze, na przykład słynne w Polsce miniaturki „Kultury”, dochodziły powietrzem na balonikach. Sporo przedarło się w plecakach „taterników” (alpinistów) – młodych ludzi, którzy ryzykowali i nieraz płacili więzieniem za przenoszenie „Kultury” przez góry. Jej egzemplarzy nie było więc dużo. A jednak to raczej z podziwem mówi się dziś o jej – niewspółmiernym do fizycznej obecności – wpływie na myślenie i postawę Polaków.

Różne były jego źródła. Każdy egzemplarz miał wielu czytelników, trafiał przede wszystkim do inteligentów i elity, która oddziaływała na resztę społeczeństwa; jej treść przekazywało Radio Wolna Europa, które, mimo zagłuszania,

miało ogromny wpływ; miała przedruki, słynne samizdaty, technicznie lepsze i gorsze, czasem były to tylko poszczególne artykuły kopiowane przez kalkę, czasem nawet całe numery, w porządnej okładce i o czytelnym druku.

Wizjoner i moralista

Intelektualna biografia Giedroycia, który umarł w wieku lat 94, nie przerywając właściwie pracy, nie mieści się w uroczystym, ale krótkim artykule. Powiedzmy więc, w największym skrócie, że był to przede wszystkim wielki wizjoner, nieprzekupny moralista w kwestii absolutnego i nadrzędnego priorytetu interesu państwa. Ale był to także znakomity redaktor. Dla Giedroycia, urodzonego prawie 100 lat temu, liczyło się tylko słowo drukowane, które, jak mówił, we wschodniej części Europy miało wielką, nieraz magiczną siłę oddziaływania. Gdyby miał dziś zacząć na nowo, uznałby zapewne zasięg telewizji i Internetu, ale 50 lat temu, choć rozumiał już rolę radia w Polsce, miał na pewno rację w odniesieniu do magii, z jaką słowo drukowane działało na Polaków. Miejsce „Kultury” w historii Polski pogląd ten w zupełności potwierdza.

Nic dziwnego, że „Kultura” uznana była przez władze warszawskie za główny „ośrodek dywersji antykomunistycznej”, za najważniejsze, obok Wolnej Europy, i najbardziej wpływowe źródło myśli i inspiracji opinii publicznej, głównie inteligenckiej w ogóle, a demokratycznej opozycji w szczególności. Władze miały rację. „Kultura” rzeczywiście była prawdziwym,

a dla elity jedynym (oprócz – dla wierzących – Kościoła) autorytetem moralnym, podstawowym punktem odniesienia i zasadniczym kryterium rozróżniania tego co dobre, a co złe, co słuszne, a co drańskie.

Dlatego „Kultura” i Giedroyc stanowili główny cel kolosalnych wysiłków komunistycznej propagandy, strategii opracowywanej przez wielkie gremia zwoływane w Komitecie centralnym rządzącej partii komunistycznej na ultratajne odprawy, konferencje i seminaria. Ich wyniki były potem przedmiotem bardzo starannej procedury i ceremoniału „przekazywania” w dół do aparatu – a przede wszystkim do redakcji prasy i wydawnictw – instrukcji, jak walczyć z „Kulturą”. Nie było tajemnicą, iż w komunistycznych redakcjach funkcjonowali „publicyści” wyspecjalizowani w walce z „dywersją”, którym dostarczano spreparowane wypisy z „Kultury”, aby w artykułach mogli dać „właściwy odpór”. Tak zrodził się paradoks – powstało w Polsce przekonanie o potędze „Kultury”. Jeżeli, mówiono całkiem logicznie, wszechpotężna władza komunistyczna tak ostro, przy użyciu wszelkich możliwych środków, atakuje „Kulturę”, musi to być silna i wpływowa instytucja i warto się dowiedzieć, co ma do powiedzenia.

Komunistyczna wersja zdrady klerków

„Pogromcy” Giedroycia to bardzo szczególny aspekt dziejów komunizmu i, żeby przytoczyć Miłosza, „zniewolonych umysłów”. W 1992 roku ukazał się pierwszy – i jak dotąd jedy-

ny – bardzo skromny wybór tych paszkwili pod niezaskakującym tytułem *Anty-Kultura*. Zawiera wybór z książek, broszur i materiałów prasowych (dzienników i czasopism) poświęconych atakom na „Kulturę”, jej redaktora i autorów. Książka nie jest lekturą zabawną, ale pożyteczną, jako wstęp do studiów nad prawidłowym odczytaniem psychologii ludzi i instytucji komunistycznych w Polsce. I chyba nie tylko w Polsce. Jest to prawdziwe wyzwanie polityczne, ale także, w pewnym sensie... intelektualne.

Wstęp do wyboru rozpoczyna się od cytatu z Corneille’a: „Wielcy kłamcy powinni mieć bardzo dobrą pamięć”, co od razu oświeśla zamierzenie. Chodziło o pierwszą próbę analizowania metodologii „Anty-Kultury”, techniki werbowania autorów, fabrykowania „dokumentów”, ujawnienia udziału Moskwy w kampanii przeciw „Kulturze”. Chodziło także o próbę zrozumienia motywacji autorów tekstów „Anty-Kultury”. Powiedziałyby to przecież więcej o psychice władzy niż głębokie studia teoretyczne. Przecież ani ci, którzy zamawiali i płacili, ani ci, którzy wykonywali te zamówienia, pisali i podpisywali te paskudztwa, nie wierzyli w to, co wypisywali na temat „Kultury” czy jej autorów w szponach „siatki Wiesenthala”, CIA, Mosadu i innych „ośrodków wrogich Polsce Ludowej”.

Jeden z zabawniejszych, ale i najbardziej charakterystycznych epizodów tej serii to „Krokodyl” kontra „Kultura”. Było to wydarzenie specjalne nawet jak na „normalny” poziom znanego wówczas z subtelного humoru sowieckiego pisma satyrycznego. „Krokodyl” mianowicie poświęcił „Kulturze” ogromny „serial” pod wstrząsającym tytułem *Cztery oblicza agenta X*. Giedroyc, zdaniem „Krokodyla”, prowadził swą dy-

wersyjną akcję z małego pokoiku za sklepikiem „żywnościowo-papierniczym” na przedmieściu Paryża. Był to tekst wyjątkowo głupi, ale o tyle ciekawy, że ujawniał współpracę między KGB i jego polskimi odpowiednikami, które inspirowały sowiecką „twórczość” na temat „Kultury”. Konkluzja „Krokodyla” okazała się zresztą niezupełnie trafna. Polscy komuniści – napisał – potrafili zewrzeć szeregi i przewyciężyć nacisk rozpasanej redakcji. Nie na długo...

Problematyka ta jest tym ciekawsza, że nikt w Polsce post-stalinowskiej, nie mówiąc już o latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, nie mógł właściwie nikogo zmusić do tego typu „twórczości”, jako że w tych latach odmowa wykonania zamówienia dla „Anty-Kultury” pociągała za sobą tylko umiarkowane ryzyko, na przykład utraty określonych przywilejów. Tak więc autorzy „Anty-Kultury” pisali (czy mówili) na ochotnika, a nie z musu, z wyrachowania, a nie z przekonania, dla pieniędzy i innych korzyści, a nie ze strachu. Dlaczego, dla jakich korzyści dawali się upodlić, ba, szli dalej, niż władza kazała w tej komunistycznej wersji „zdrady klerków”, to było właśnie główne pytanie, które stawiała ta pierwsza próba antologii „Anty-Kultury”. Sprawa jest zresztą ciągle aktualna. Pojęcie i praktyka „zdrady klerków” nie znikły z debaty o roli intelektualistów i ich stosunków z władzą.

32 lata przyjaźni

Ktoś kiedyś na jakimś „wieczorze autorskim” w demokratycznej już Warszawie zapytał mnie, jak mógłbym najkrócej zdefiniować moją przygodę z paryską „Kulturą”. Odpowiedziałem wtedy – i ciągle to powtarzam – że z „Kulturą” w moim życiu było tak jak z księżycowym programem Apollo w życiu Amerykanów. Sukces nie polegał na tym, że dzięki Apollo Neil Armstrong mógł postawić stopę na Księżycu, lecz na tym, że człowiek nareszcie miał okazję z oddali spojrzeć na Ziemię. Wojciech Skalmowski z tej okazji w bardzo twórczy sposób skorzystał.

Kiedy z końcem roku 2001 ukazała się w Polsce moja zawodowa autobiografia pt. *Intruz*, jeden z pierwszych egzemplarzy znalazł się w ręku Skalmowskiego. Dedykacja brzmiała: „Wojtkowi i Basi [to jego żona], w pierwsze trzydziestolecie naszej przyjaźni”. W jego siedemdziesięciolecie do tych słów wystarczy dodać dwa lata. Reszta – bez zmiany.

al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa
tel. (+48) 22 608 23 74, e-mail: czasopisma@instytutksiazki.pl, www.czasopisma-ik.pl

SECTION DES PUBLICATIONS DE L'INSTITUT DU LIVRE

ISBN 978-83-61005-45-2

Droits réservés | Matylda Unger, Monika Unger et Marek Unger

Imprimerie | PETIT Lublin

Mis en page | „Bez Erraty” Zbigniew Dyszczyk

Photographies de l'auteur à l'intérieur du volume | Tomasz Wierzejski/FOTONOVA

Photographies de l'auteur sur la couverture | Włodzimierz Wasyluk/REPORTER

Traduction en français | Tomasz Stróżyński

Rédaction | Magdalena Janik

Conception graphique | Krzysztof Rumowski

Préparation à l'édition | Andrzej Peciak

Przygotowanie do druku | Andrzej Peciak

Opracowanie graficzne | Krzysztof Rumowski

Redakcja | Magdalena Janik

Tłumaczenie na język francuski | Tomasz Stróżyński

Fotografie Autora na okładce | Włodzimierz Wasyluk/REPORTER

Fotografia Autora w tomie | Tomasz Wierzejski/FOTONOVA

Skład | „Bez Erraty” Zbigniew Dyszczyk

Druk | PETIT Lublin

© by Matylda Unger, Monika Unger i Marek Unger

ISBN 978-83-61005-45-2

DZIAŁ WYDAWNICTW INSTYTUTU KSIĄŻKI

al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa

tel. 22 608 23 74, e-mail: czasopisma@instytutksiazki.pl, www.czasopisma-ik.pl